

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 17700·— Mk. z przes. 18500·—Mk. Półrocznie 37000·— Mk. Rocznie 74000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 1500 Marek.

Rok XX. Kraków, 6 kwietnia 1923. Nr. 14.

Propaganda hygieny na ziemiach Polski



Namiot kinematograficzny na pokładzie statku pod mostem Kierbedzia w Warszawie, ze słuchaczami wychodzącymi z odczytu o hygienie i prelegentem, drem Zanietowskim z Krakowa.



Propaganda hygieny na ziemiach Polski: Wagon propagandowy amerykańskiego Czerwonego Krzyża (w drzwiach otwartych prelegenci: dr. Zanietowski i dr. Cieszyński oraz delegatka Ligi miss O'Brien).



Nowa zbrodnia bolszewików: Ks. Arcybiskup Cieplak metropolita Kościoła katolickiego w Rosyi skazany na śmierć przez bolszewików.

Propaganda hygieny na ziemiach Polski.

Zdrowie jest warunkiem szczęścia jednostek, a siła fizyczna narodu zasadniczą podstawą bytu społecznego. Propaganda hygieny, czyli rozszerzanie nauki o zdrowiu ma też na celu uświadomienie szerokich warstw społecznych o wartości tych odkryć i tych praw, które dla szczęścia i obrony ludzkości wykuwa nauka; a cel ten osiąga zapomocą druku i żywego słowa. Do tych obu środków dodała w ostatnich latach Liga Czerwonych Krzyży, w sposób intenzywniejszy i dostępniejszy niż dotąd, środek trzeci, w postaci popularnych filmów kinematograficznych z dziedziny hygieny, a Amerykański Czerwony Krzyż w Polsce zorganizował przy pomocy Polskiego Czerwonego Krzyża i Pol. Ameryk. Komitetu pomocy dzieciom pierwsze „oddziały lotne“ złożone z polskich lekarzy, których zadaniem było objechać większe miejscowości Polski i demonstrować te filmy, objaśniając je odnośnymi bezpłatnymi odczytami. Dzieło to rozpoczęte na większą skalę w grudniu r. 1921., przejął z kolei rzeczy i prowadzi dotąd Wydział hygieniczno-lekarski w Warszawie pod przewodnictwem dra Gromskiego, a w kwietniu b. r. odbędzie się właśnie w Mińsku mazowieckim pod Warszawą Zjazd Tow. Czerw. Krzyży, na którym demonstrowane i omawiane będą metody i owoce dotychczasowej propagandy.

Korzystamy z tego niezwykłego i aktualnego momentu, aby Szan. Czytelników drogą niniejszego artykułu oraz dołączonych do niego illustracyi, poinformować o zakresie i wartości samej akcyi. Najlepszym jej obrazem będzie zestawienie kilku dat statystycznych, dostarczonych nam przez najdawniejszego współpracownika oddziału lotnego, dra Zanietowskiego z Krakowa. Dr. Zanietowski wygłosił z ramienia Ameryk. Czerw. Krzyża, wspólnie z drem Stawińskim, dr. Kotarską i drem Cieszyńskim 616 bezpłatnych odczytów o zdrowiu w 21 miejscowościach, a następnie sam jeden, z ramienia Wydziału hygieniczno-lekarskiego na pokładzie statków „Wystawy pływającej“ 174 odczytów w 43 miejscach, położonych nad Wisłą. Obecnie z ramienia wspomnianego Wydziału, wraz z kierowniczką oddziału lotnego p. Kryńską, oraz z prelegentami p. dr. Kraśniewiczówną i p. prof. Gliszczyńskim, objechał już w dalszym ciągu 24. miejscowości, położone na kresach wschodnich i zachodnich, oraz w południowej Małopolsce, w których wygłoszono około 500 odczytów. Sumaryczna liczba słuchaczów przekracza już cyfrę 600. tysięcy (w czem przeszło 400.000 dzieci szkolnych), a etap dalszej podróży obejmuje dwadzieścia kilka miast Litwy, Pomorza i Wielkopolski.

Aczkolwiek cyfry powyższe przemawiają już same za siebie, nie od rzeczy będzie może podkreślić tu samą formę oryginalnie obmyślanej propagandy. Na kilka dni przed każdorazowym przyjazdem oddziału lotnego do danej miejscowości, sekretarz oddziału p. Wołowski przysposabia teren akcyi według programu przygotowanego przez szefa centralnego biura p. Kulikowskiego, oraz zarządza rozlepienie szeregu plakatów, zapowiadających godziny bezpłatnych odczytów dla wszystkich dzieci szkolnych, dla matek i dla dorosłych. Wagon własny oddziału, zaopatrzony w środki demonstracyjne i bibliotekę dzieł popularnych, oraz automobil zaopatrzony we własny aparat kinematograficzny i motor do wytwarzania światła, przez sam przyjazd, do danego miejsca stanowią niejako drugi etap poważnej reklamy. Tłumy zainteresowane tą reklamą, jeżeli już nie zawsze z chęci pouczenia się, to przynajmniej z samej ciekawości zobaczenia bezpłatnych filmów oraz z chęci otrzymania różnorodnych broszur o zdrowiu i wychowaniu, tysiącami rozdawanych bezpłatnie, podążają gromadami w każdem miejscu od rana do wieczora do sal odczytowych.



Propaganda hygieny na ziemiach Polski. Prelegenci oddziału lotnego na lorze podczas podróży (z prawej ku lewej: dr. Zanietowski, dr. Kotarska, kierowniczka miss O'Brien, dr. Cieszyński)



Propaganda hygieny na ziemach Polski: Oddział lotny Wydziału hygieniczno-lekarskiego z automobilem kinematograficznym na kresach wschodnich (w Równem). Koło automobilu z lewej ku prawej: dr. Finkelstein i dr Baliński, prelegent dr. Zanietowski, kierowniczka p. Kryńska, sekretarz Wołowski, prelegenci dr. Kraśniewiczówna i prof. Gliszczyński.

Prelegenci poprzedzają demonstracyę filmów kinematograficznych zastosowanymi do wieku i rodzaju słuchaczów popularnymi odczytami o zdrowiu, o zasadach hygieny, o chorobach zakaźnych, o karmieniu i wychowaniu dziecka. Z kolei rzeczy następuje zawsze przedstawienie obrazów kinematograficznych, dostępnie objaśnianych przez prelegentów, przyczem na ekranie przesuwają się obrazy bądźto naukowe, przedstawiające bicie serca, oddechanie, krążenie krwi, fagocytozę, zdję-



Propaganda hygieny na ziemiach Polski: Oddział lotny Wydziału hygieniczno-lekarskiego z harcerzami zgromadzonymi na odczyt na kresach zachodnich (w Rybniku). Koło automobilu z lewej ku prawej: Kierowniczka oddziału p. Kryńska oraz prelegenci dr. Zanietowski i prof. Gliszczyński.

cia promieniami Roentgena i t. d., bądź też codzienne, zaczerpnięte z życia, a pouczające widza, jak należy wietrzyć pokoje, zachowywać czystość, myć ręcę przed jedzeniem, unikać nałogów, tępić muchy przenoszące gruźlicę i wszy przenoszące tyfus, walczyć z chorobami zwłaszcza zakaźnemi i t. d. Po odczytach następują konferencye oddziału lotnego z miarodajnymi czynnikami danego miejsca, w celu omówienia sposobów ustalenia dalszej trwałej akcyi propagandy hygieny.

Akcya cała, mająca wyłącznie na celu zachęcenie wszystkich warstw społecznych do mądrej i solidarnej współpracy nad ochroną tego wspólnego dobra, jakiem jest zdrowie, spotkała się dotąd nie tylko z uznaniem i poparciem szerokich sfer, ale także doczekała się już niejednego konkretnego owocu na polu hygieny prywatnej i publicznej.

Pogrzeb ks. Arcybiskupa Bilczewskiego.

Pogrzeb ś. p. ks. Arcybiskupa Bilczewskiego we Lwowie był olbrzymią manifestacyą żałobną, na którą zjechali się wielcy dostojnicy Kościoła z całej Polski. Na smutny obrzęd zjechali książę biskup Sapieha i ks. biskup Nowak z Krakowa, ks. biskup Wałęga z Tarnowa, ks. biskup Pelczar i ks. biskup Fiszer z Przemyśla, ks. kardynał Kakowski z Warszawy, ks. biskup Przeździecki z Polesia, ks. biskup Łoziński z Mińska, ks. biskup Dubowski z Łucka, ks. biskup Ryx z Sandomierza, ks. biskup Fulman z Kublina i ks. biskup Mańkowski z Kamieńca.

Rano o godzinie 9-tej ks biskup Chomyszyn odprawił cichą mszę przy głównym ołtarzu według obrz. gr.-kat. W godzinę później ks. kard. Kakowski odprawił sumę żałobną, podczas której śpiewał chór Techniki, a solo na wiolonczeli odegrał p. A. Schmar. Na honorowem miejscu obok ołtarza zasiedli w czasie nabożeństwa: wizytator papieski O. Genocchi, reprezentant Rządu i prezydenta ministrów Sikorskiego p. Mikułowski-Pómorski kierownik Min. oświaty, senator Witold Czartoryski jako zast. marszałka Trąmpczyńskiego, inspektor V. armii jen. Haller, komendant okr. korp. jen. Jędrzejewski, jen. Latinik z Przemyśla, wojewoda Grabowski, wojewoda krakowski dr. Gałecki, prez. m. Neuman, Senaty akademicki i Politechniki, na-



Zgon Sary Bernhardt: Sara Bernhardt w swej garderobie przed wyjściem na scenę.



Pogrzeb ks. Arcybiskupa Bilczewskiego: Pochód pogrzebowy przed kolumną Mickiewicza we Lwowie. Fot. M. Munz, Lwów.



Pogrzeb ks. Arcybiskupa Bilczewskiego: Episkopat z całej Polski w pochodzie żałobnym. Fot M Münz, Lwów.

czelnicy władz, korpus oficerski i t. d. W stallach po obu stronach ołtarza zajęli miejsca biskupi.

Po podniosłej mowie żałobnej ks. arcyb. Teodorowicza, odprawił ks. biskup Chomyszyn przy zwłokach „Panachidę" przy udziale kleru ruskiego, a następnie „Castrum doloris" odprawiło duchowieństwo ormiańskie, wreszcie ks. kard. Kakowski z duchowieństwem łac.

Przed godz. 1 w południe wyniesiono trumnę z kościoła. U bramy katedralnej odśpiewały połączone chóry lwowskie pod batutą dyr. Rangla „Beati mortui". Trumnę niosło duchowieństwo na swych barkach aż na cmentarz. Poprzedzał trumnę olbrzymi pochód żałobny, którego czoło sięgało aż do ul. Krasickich. Na czele jechały dwa szwadrony 14. p. ułanów ze swoją orkiestrą, potem kompanie piechoty z orkiestrą 19. pp., dalej skauci, młodzież szkolna, bractwa kościelne, włościaństwo i dziatwa wiejska, Stowarzyszenia z „Gwiazdą" lwowską i „Gwiazdą" ze Stryja, oraz delegacya kolejarzy stryjskich na czele ze sztandarami, cechy i korporacye ze sztandarami, Tow. strzeleckie, Kongregacya kupiecka, Związek obrońców Lwowa, uczestnicy powstania 1863 r., klasztory, duchowieństwo.

Kondukt prowadził ks. kardynał Kakowski, w otoczeniu ks. arcyb. Teodorowicza, ks. arcyb. Hryniewieckiego, biskupa Chomyszyna, oraz wszystkich biskupów i kanoników, wśród których byli delegaci kapituł z Warszawy, Krakowa, Przemyśla, Tarnowa, Lublina, Kielc, Sandomierza, Łucka, Kamieńca. Za trumną kroczyła rodzina ś. p. Zmarłego, reprezentanci Rządu, wojskowości, władz i t. d. W pochodzie niesiono kilka wieńców, między innemi od Rządu Rzeczypospolitej, Rady m. Lwowa, Inspektoratu V. armii i korpusu oficerskiego, D. O. K. Lwów i t. d.

Na ulicach miasta aż pod cmentarz stały gęste szpalery publiczności, z okien domów wyglądały tysiące głów. W szpalerze stali też żołnierze i dziatwa szkolna. Na ulicach płonęły latarnie kirem osłonięte. Pochód zdążał na cmentarz Janowski przeszło półtory godziny. Grób na cmentarzu wybudowano w najpiękniejszem miejscu, przy głównej drodze w rondzie. Na grobowcu ustawiono kamień ze skromnym napisem.

Ostatniem pożegnaniem były nad grobem modlitwy duchowieństwa ruskiego i łacińskiego, odprawione przez ks. biskupa Chomyszyna i ks kardynała Kakowskiego, oraz śpiewy alumnów ruskich i duchowieństwa polskiego.

Obrzęd pogrzebowy zakończył się o godz. 3 popołudniu. Przepiękna pogoda towarzyszyła smutemu obrzędowi złożenia na spoczynek wieczny zwłok wielkiego kapłana i patryoty. Cześć Jego pamięci!



Pogrzeb ks. Arcybiskupa Bilczewskiego: Rodzina, wojewoda, delegat rządu i naczelnicy władz za trumną. Fot. M. Münz, Lwów.

Nowa zbrodnia bolszewików.

Cały świat cywilizowany wzburzyła nowa zbrodnia bolszewików: skazanie Arcybiskupa Cieplaka i ks. Budkiewicza na karę śmierci, a 13 innych księży katolickich z Petersburga na ciężkie więzienie do lat sześciu. Nie ulega wątpliwości, że cały ten proces, który był tylko naigrawaniem się ze sprawiedliwości, miał na celu jedynie tylko nowy szantaż ze strony bolszewików, którzy chcą w ten sposób wymusić wymianę skazanych na zasądzonych niedawno komunistów w Warszawie. Na zapytanie jednego z korespondentów zagranicznych, czy skazani księża zostaną wydani Polsce w drodze wymiany personalnej, prokurator Krylenko dał następującą cyniczną odpowiedź: „Rząd rosyjski nic przeciw wymianie mieć nie będzie. Jest to jedynie „wymiana towarowa", dokonywana pomiędzy Polską a Rosyą". Odpowiedź Krylenki odkrywa właściwe podstawy „procesu".

Rzad bolszewicki, który wspaniałomyślnie raczył wstrzymać wykonanie wyroku na ks. Arcybiskupie Cieplaku, — ks. Butkiewicza rozstrzelał niespodziewanie w Wielką Sobotę. Chciał niewątpliwie w ten sposób sterroryzować opinię polską i wymusić wymianę za skazanych księży.

Przeciw takiemu jednak postawieniu sprawy protestuje najenergiczniej cała prasa polska, podnosząc słusznie, że nie możemy dopuścić do tego, aby ks. Arcybiskupa Cieplaka wymieniono za pospolitych opryszków bolszewickich w Polsce. Polska i cały świat cywilizowany, który zareagował tak potężnem oburzeniem na tę ostatnią zbrodnię bolszewików, muszą znaleźć i niewątpliwie znajdą inne sposoby uratowania zasądzonych księży.



Pogrzeb ks. Arcybiskupa Bilczewskiego: Rada miejska z prezydyum m. Lwowa w pochodzie pogrzebowym. Fot. M. Münz, Lwów.

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

3)

— Niema się o co obrażać.. To kwestya tak drażliwa... Zdarzają się nieraz zabawne komplikacye... Pamiętam, w Teheranie, na dworze perskiego szacha...

— Czy zabieg będzie dokonany odrazu dzisiaj? — przerwała mu, nie ciekawa jego wspomnień z Teheranu – bo nie chciałabym zbyt długo czekać... Nie mam czasu...

— Może być i dzisiaj... choć mamy wcześniejsze zamówienia... Ale jeśli pani koniecznie zależy na pośpiechu... Ale to będzie kosztowało więcej...

— Wszystko jedno... ile?...

— Ale honoraryum z góry, zaraz, teraz... — oczy doktora zaświeciły silnym blaskiem.

— Dobrze — rzekła, sięgając po torebkę ręczną — ile?...

Dr. Riki-Tiku wymienił sumę bardzo wysoką. W chwili, gdy wymawiał cyfrę honoraryum, żółtawe jego oczy trochę niespokojnie badały twarz klientki.

Lecz na twarzy tej nie odmalował się ani rzestrach, ani nawet wzruszenie.

Tęskniąca za młodością profesorka przygotowana była na to, że za powrót wiosny drogo zapłacić przyjdzie... Właściwie nie wydawało się jej to zbyt drogo – wszak to cena miłości i szczęścia... Bez słowa protestu wyjęła z torebki niewielki portfel, wyładowany grubo banknotami i w milczeniu wypłaciła co do grosza żądaną kwotę.

Dr. Riki-Tiku zgarnął szybko, bardzo szybko pieniądze i ubrał oblicze swoje w wyraz przymilnej uprzejmości..

— Łaskawa pani będzie z pewnością zadowoloną... Co mówię — zadowoloną? zachwyconą!... oczarowaną!... uszczęśliwioną!... W czasie mego pobytu w Konstantynopolu odmłodziłem babkę sułtana, która w kilka tygodni później uciekła z pewnym młodym bejem!... Powiadam pani, ta historya narobiła olbrzymiego hałasu...

Serce Pelagii ugryzł mimowoli robak wątpliwości...

— A może to jaki blagier? szarlatan? — przemknęło jej przez myśl.

Ale zaraz przypomniała sobie pannę Walentynę... No to już żywy, autentyczny dowód... — A więc — chodźmy w młodość!...

Dało się słyszeć trzykrotne uderzenie gongu.

— Co to takiego?

— To hasło, że posiłek podany... Dla tych pensyonaryuszów naszych, którzy jes cze czekają na operacyę... Szanowna pani pozwoli również... ogromnie hygieniczny posiłek, zastosowany do okoliczności... Zupa kminkowa i szpinak.

Dr. Wyrobkówna nie znosiła zupy kminkowej, a brzydziła się formalnie szpinakiem; nie czuła zresztą głodu, ciekawość ją wszakże brała, aby przyjrzeć się bliżej współtowarzyszom doli... Chodziło jej jednak o zachowanie incognito...

— Mówiłam już panu doktorowi, że nie chciałabym, aby wiedziano kto jestem...

— Na wszystko jest rada... u nas ściśla dyskrecya... O! proszę... — i podał zieloną maskę...

— W masce?... Ależ...

— Tam wszyscy są w maskach...

— A, jeśli tak, to co innego...

I założyła maskę, która przysłoniła jej twarz aż do brody... Maska sporządzona była z miękkiej materyi, tak, iż uchylenie jej przy jedzeniu nie sprawiało wielkich trudności.

Dr. Riki-Tiku wprowadził nową pacyentkę do niewielkiej salki, obitej zieloną tapetą, gdzie kilka osób w trawiastych płaszczach siedziało przy stole i jadło szpinak... Wszystkie twarze przesłonięte były maskami... Ale oczy migały, ożywione podnieceniem, nadzieją i ciekawością.

Dr. Wyrobkówna oddała lekki ukłon i zajęła wskazane jej miejsce przy stole. Wszystkie zamaskowane twarze zwróciły się ku niej, jakby usiłując przewiercić wzrokiem zieloną materyę, zakrywającą rysy nowoprzybyłej...

— Cóż u dyabła? nikt nie chce być starym? — wyseplenił szkieletowo chudy człowiek, którego dykcya zdradzała kompletny brak zębów...

— Naprzykład co panu po młodości? — odmruknął grubas, oddychający bardzo astmatycznie.

— W każdym razie prędzej mu się przyda, jak panu — stanęła w obronie chudego staruszka, jedna z niewiast, z biustem niezwykle obwisłym — pan choćbyś się sto razy odmładzał, to i tak będziesz miał rogi... Zawsze ten kuzynek młodszy!... Zachciało się po sześćdziesiątce żenić z dwudziestoletnią dziewczyną!...

— Moja pani! to bezczelność!.., Przedewszystkiem pani nie wiesz, kto jestem!...

— Musiałbyś sobie radca obciosać kawałek brzucha i sapać trochę ciszej!...

— Stara krowienta!...

— Co?...

— No, niby co?... Myślisz pani, że cię nie poznałem!... Takiej figurki nie ma żadna inna stara aktorzyca!... A te malowane na rudo kłaki!... Chciałoby się jeszcze łydki pokazywać, tylko żylaki przeszkadzają!...

— Rogacz!... stare próchno!..

— Wybrakowana szkapa z teatralnej stajni!...

— Fi donc!... co za wyrażenie!.. co za sposób wyrażania — wmięszała się druga z obecnych kobiet, której na gors opadał potrójny, poprzecinany sieciami zmarszczek podbródek — dla kobiety z towarzystwa to prawdziwa męka przepędzić tutaj choćby kilka godzin...

Stara aktorka z obwisłym biustem, zapominając o astmatycznym mężu młodej żony, obróciła się szybko ku „kobiecie z towarzystwa".

— Patrzcie ją, dama! A dla kogóż to łaskawa pani tak pragnie się odmłodnić?... Chyba nie dla tego robaczywego grzyba, męża, który ledwie nogami powłóczy!... Ale o tego kochanka chodzi, co miał już dosyć twoich wdzięków... Wiemy coś o tem, jak to pewna „dama z towarzystwa" pukała przez cały tydzień codziennie do drzwi garsoniery, nie otwarło!... Ha!... ha!.. ha!... sąsiedzi mieli uciechę!...

— Milczeć lafiryndo!... ja z takiemi nie rozmawiam!...

— Bezzębna lwica!... ośmdziesiąt pięć kilo żywej wagi!...

— Proszę o spokój!... — zawołał Riki-Tiku, ukazując się we drzwiach — wszelkie silniejsze zdenerwowanie może zaszkodzić wynikowi operacyi...

Nagle zapanowała cisza grobowa.

Wyrobkówna czuła, że się czerwieni pod maską.

— No! ładnie się oni tutaj nie znają... – pomyślała i ogarnęła ją chęć jak najszybszego wydostania się z tego pokoju. To też po chwili, nie odezwawszy się do nikogo słowa, podniosła się z krzesła i wyszła. U progu doleciały ją słowa aktorki:

— A to co za stare pannisko?...

Drgnęła. jakby ją kto podciął biczem, ale zaraz zreflektowała się. No i cóż wielkiego, że jest starą panną? Wszakże sama wie o tem dobrze i przybyła tutaj po to, aby przestać nią być... Tylko prędzej niechajże się to stanie!... prędzej!... prędzej!... O! Feliksie!... Feliksie!...

ROZDZIAŁ III.

Z pokoju oznaczonego Nr. 923 dochodził donośny płacz małego dziecka... Dziwny jakiś płacz, nabrzmiały wyrazem tak wielkiej złości, że stanowczo zbyt wielkiej w stosunku ndo małego gardziołka i drobniutkiej piersi niemowlęcia...

— Dr. Riki Tiku, odbywający właśnie inspekcyę swego zakładu, posłyszał ten płacz Zdziwiony bez pukania nacisnął na klamkę i otworzył drzwi.

Po chwili zaczął z wnętrza pokoju wołać rozpaczliwie:

— Walentyno!... Walentyno!...

Dorodna Walentyna wyrosła jakby z pod ziemi.

— Co ty znowu za wrzaski urządzasz? Pobudzisz tych wszystkich starych idyotów?!

— Chodź tu!... chodź prędzej!...

— Co się stało?!

— Coś okropnego!...

„Prawa ręka" nowożytnego Mefista wbiegła do pokoju, gdzie oczy jej uderzył niespodziewany widok. Na zielono lakierowanem łóżku leżało kilkotygodniowe niemowlę, wplątane w długą nocną koszulę dorosłej osoby i darło się w niebogłosy. Dziecko wierzgało nóżkami jak oszalałe, biło rączkami o materac, a oczy jego bystre, inteligentne oczy dojrzałego człowieka błyszczały wściekłym gniewem... Kontrast tej malutkiej postaci, łysej, niekształtnej czaszki, bezzębnych dziąseł i tych mądrych, pełnych wyrazu oczu — był tak rażący, a tak zarazem komiczny, że Walentyna w pierwszej chwili roześmiała się. Ale uśmiech zniknął naraz z jej twarzy.

— Co to jest?

— Widzisz, dziecko!...

— Skąd to dziecko!...

— To moja odmłodzona pacyentka!... Uważasz, fatalna pomyłka!...

— Zwaryowałeś, czy kpisz ze mnie?!... Pytam, co to za dziecko?!...

— Powtarzam, że to ta stara panna, co chciała mieć lat ośmnaście!... Eksperyment się udał!... pierwszy raz się udał!... tylko ta po nytka!...

Dziecko wrzasnęło jeszcze silniej i jęło się rzucać po pościeli całem swem ciałkiem — niby w drgawkach konwulsyjnych.

Walentyna przez kilkadziesiąt sekunt osłupiała ze zdziwienia, patrzyła na niemowlę.

— No, wiecie — coś takiego!...

I jak tygrysica przyskoczyła do swego szefa.

— Ty ośle stary!... ty niedołęgo!... byłeś znowu pijany jak bela!...

— Przysięgam ci, Walusiu, że nie... Byłem trochę tylko.. właściwie nie... całkiem trzeźwy... najtrzeźwiejszy, jakbym całe życie nie pił nic prócz wody odmładzającej...

— Nie zawracaj głowy, bo...

— Tylko widzisz, ten babsztyl, to fenomen!... ona mi powiedziała prawdę, ile ma lat!... To mi się pierwszy raz w mojej praktyce zdarzyło!... A wyglądała, jakby miała o ośmnaście lat więcej, no i stąd cała katastrofa!...

I znowu rozpaczliwy krzyk dziecka!..

— Jak ona się patrzy!... Uważasz, ona zachowała rozum dorosłego człowieka i wścieka się teraz!...

— A niech się wścieka, tylko co my z nią teraz zrobimy?... Pieniądze wziąłeś z góry?

— Naturalnie. Zapłaciła dobrze.

Płacz dziecka zdawało się, że mury przebije.

— Ależ ten stary bachor pobudzi wszystkich!... Trzeba ją uspokoić!...

— Może ją pokarmić? — zaproponował dr. Riki Tiku.

— Aha! pokarmić!... nie wiem, skąd wezmę mamkę na poczekaniu!... Może ją jeszcze w pieluchy zawinąć!... Także interes!... Czekaj!... ja ją tu zaraz uspokoję, jeżeli, jak powiadasz, ona rozumie, co się wkoło niej mówi.

I zwróciła się do niemowlęcia z groźną miną:

— Słuchajno, jeżeli w tej chwili nie przestaniesz się drzeć, zaknebluję ci gębę tak, że ani piśniesz!... Rozumiesz?!...

W nieproporcyonalnie dużych do małej twarzyczki oczach odmalował się przestrach. Dziecko zamilkło.

— Widzisz, rozumie... Jest tak, jak mówiłem...

— Co mi tam twoje głupstwa!.. Mam już wogóle dość tego odmładzania... Ale co my z tym fantem teraz zrobimy?... Jeszcze się policya gotowa w to wdać i będzie pasztet!...

— Trzeba ukryć!...

— Ale gdzie? jak?!

— Może powiedzieć, że to moje?

— Idyotyzm!... No, mam już pomysł!... Trzeba ją teraz zanieść ostrożnie, tak, żeby nikt nie widział, do mego pokoju, a wieczorem zobaczymy!...

Dziecko przenikliwym wzrokiem wierciło jej twarz... Szorstko pochwyciła je w swoje silne ręce i owinęła nocną koszulą dra Wyrobkówny... Niemowlę pociśnięte zbyt silnie — krzyknęło z bólu...

— A będziesz ty cicho przeklęty bachorze!... — i Walentyna uszczypnęła gniewnie dziecko, tak, że na delikatnem ciałku wystąpił duży siniak.

Płacz zcichł. Widocznie mądre „dziecko" pojęło, że z tą opiekunką nie poradzi sobie...

— — — — — — — — — — — — — — —

— Hela!... ubieraj się... idziemy do „Żłóbka" — rzekła pani Barbara Żórecka do swej siostrzenicy, która niedbale rozparta w fotelu, czytała francuską powieść p. t. „La garçonne"...

Dziewczyna niechętnie oderwała wielkie ciemnoliłkowe oczy od kart książki.

— Do jakiego znów żłóbka?

— Jakto nie wiesz, że mnie wczoraj mianowano patronesą wszystkich opuszczonych dzieci, sierot po...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

9) **Powieść z francuskiego**

Mówiono, że uroiłem sobie tylko, żem był chory; że byłem nim tylko w swojej wyobraźni. Zresztą, czyż nie mógłbym zabrać z sobą żony? Ona, biedna kobieta, tego tylko pragnęła! O ludzie! plemię Kaimów! Nie wiem co w was należy więcej podziwiać, niegodziwość czy głupotę?

Dreszcz mnie przeszedł, gdym usłyszał ten energiczny wykrzyknik. Wszystko co hrabia mówił, było tak zgodne z prawdą! tak naturalne! Wszystko to uzupełniało kłamliwe opowiadanie, jakie dawniej słyszałem od jego żony! Nakoniec prawda stawała przedemną, uzupełniając obraz hrabiny, jaki sam sobie utworzyłem.

Nic nie umiałem odpowiedzieć hrabiemu! On zaś, zapewne wyrzucając sobie, iż na chwilę uniósł się gniewem, silił się teraz odzyskać zimną krew.

LXVI.

— Kryzys wybuchła między nami — mówił hrabia dalej — podczas gdym po raz pierwszy powrócił do Francyi.

Przybyłem z sercem przepełnionem nadzieją, gotów do przebaczenia wszystkiego wobec jakiejkolwiek oznaki żalu.

Niestety! To co zastałem, wcale nie odpowiedziało moim życzeniom. Szał rozgościł się w moim domu.

Opisywać panu, jakie tam prowadzono życie, jakich ludzi tam przyjmowano, jak się zachowywano, byłoby zbytecznem; sam mogłeś o tem sądzić, widząc co się tu działo przed mojem przybyciem.

Dawniej, by być przyjętym w tym domu, trzeba było łączyć w sobie poczucie przyzwoitości z jakiemikolwiek śladami zdrowego rozsądku i inteligencyi. Teraz, kobiety bywające tu, to wszystko wietrznice! W miejscu publicznem, dzięki ich zachowaniu się i ubraniu, możnaby je wziąść za najlichsze istoty. — Mężczyźni, to nędzna, próżniacza zgraja!

Salon mój wstręt we mnie wzbudza, gdym zobaczył z czego się składa. Rumieniec występował mi na twarz, gdym słyszał jakie się tam prowadzą rozmowy. Wiedy to począłem sobie gorzko wyrzucać rozdrażnienie, pod wpływem którego postąpiłem.

Pani Chalis chciała wiedzieć, dlaczego taką dziwną minę zrobiłem.

Wyjawiłem jej to.

Mówiłem, jak mąż oburzony, jak człowiek dotknięty w swych najdroższych uczuciach, w sumieniu swem.

Czy myślisz pan, że się upokorzyła? Na mnie napadła.

Powiedziała, że ja to właśnie jestem winien temu, iż wszystko się tak zmieniło w moim domu. Dlaczego uroiłem sobie, żem chory? Dlaczego tak pospiesznie usłuchałem niedorzecznej rady lekarza? Czy, przy należytem pielęgnowaniu nie mógłbym tak samo się wyleczyć we Francyi jak w Sycylii?

Tyle pewności siebie oburzyło mnie. W tym samym dniu lekarze odbyli nademną konsylium, w którem brało udział dziesięciu najrozmaitszych medyków paryskich. Potwierdzili oni zdanie doktora Serre.

Wtedy zrobiłem to, com powinien był zrobić przed rokiem. Oświadczyłem pani Chalis, iż życzę sobie, by mi towarzyszyła w podróży wraz dziećmi. Nie zgodziła się jechać ze mną.

Hrabia był bardzo blady. Czas jakiś milczał, wreszcie rzekł, uśmiechając się z przymusem:

Czy znasz pan jaki środek zmuszenia kobiety by uczyniła to, co postanowiła nie uczynić? — Jeżeli pan myśli, iż taki środek istnieje, to wyjaw mi go. Ja go szukam dotąd. Ani moje prośby, ani wyrzuty nie poskutkowały. Doszedłem aż do zagrożenia, że dzieci zabiorę. — I to nie pomogło.

Powiedziała mi, iż woli umrzeć niż opuścić Paryż. Jak gdyby ten nieznośny Paryż, był jedynem w świecie miejscem, gdzie kobieta oddychać może!

Sam więc odjechałem, nie mogąc zdecydować się na to, by zabrać dzieci matce, a właściwie, nie chcąc pozbawiać matki tak młode istoty, cofając się przed niechybnym skandalem, nie uskarżając się nawet przed nikim. Gdyż, jeżeli w głupocie naszej, współczujemy najbardziej zasłużonym cierpieniom kobiety, to zmartwienia męża tylko śmiech wzbudzają.

Ale od tej chwili wszystko we mnie umarło. Czułem tylko żal, że żyję, i że żyć muszę, gdyż nie można być ojcem bezkarnie!

Otóż teraz, kochany przyjacielu, muszę panu nakoniec powiedzieć, czego oczekuję od jego przyjaźni.

Chociaż od dwóch lat, tak z listów, jak i z zachowania się względem mnie pani Chalis, wnoszę, iż niby żałuje okrótnego swego postąpienia ze mną, to jednak niepodobieństwem jest dla mnie wierzyć w jej szczerość. Sądzę, iż czuje ona fałsz swej pozycyi, gdyż zmuszona jest znosić nudy wdowieństwa, nie mając jego swobody.

Musiała dostrzedz, że zdrowie moje poprawia się, i że nadchodzi czas, w którym mi będzie wolno osiedlić się w Paryżu. Pojmuje więc, że nie będzie to zwyczajną tylko przykrością, gdy znajdzie się zmuszoną spędzić resztę swego życia obok człowieka, który jej nigdy nie przebaczy tego co zrobiła. Próbuje zatem odzyskać wpływ, jaki niegdyś na mnie wywierała. Gdyby się jej udało wyjednać sobie przebaczenie, którego nigdy nie udzielę, ma ona nadzieję, iż w słabości serca mego, przystanę na to by żyła wedle swej fantazyi.

A podczas, gdy się tak przygotowuje do odzyskania straconych korzyści, ja znowu zamierzam, za moim powrotem tak się urządzić, by raz na zawsze zerwać z właściwym trybem życia, jakie się tu prowadzi. Znam to życie, choć się starają ukrywać je przedemną.

Ale nim to nastąpi, obawiam się by stan rzeczy się nie pogorszył. Pewne wiadomości, których mi udzielono chociaż nie prosiłem o nie, każą mi podejrzywać, iż pani Chalis, być może bez świadomości tego, ulega wpływom fatalnym, które z czasem mogłyby doprowadzić ją do utraty reputacyi...

Robiłem co mogłem, by wykazać jej niebezpieczeństwo, na jakie narażona jest wskutek życia, jakie prowadzi od czasu naszego rozłączenia się.

Ale zamiast ze szczerością przystąpić do rozbioru tej kwestyi, poprzestała na zaprzeczeniu wszystkiemu, co mnie jeszcze bardziej utwierdziło w mych podejrzeniach.

Nadzwyczajnie to przykro, mój przyjacielu, robić to, co ja robię obecnie, gdy mówię, iż nie idzie tu już o uczucie między mną a moją żoną, ale tylko o mój honor. Jesteś pan mężczyzną, pojmujesz więc, ile jest goryczy w mojem położeniu.

Że pani Chalis zapomniała się tak dalece, iż doszło do tego, że wszędzie, nawet w dziennikach, mówią w wyrażeniach bardzo przejrzystych o jej szaleństwach; że publiczność, nigdy nie szczędząca ręki, gdy idzie o chłostanie osób, których postępowanie wydaje się jej zdrożnem, pozwala sobie nadawać pani Chalis i jej przyjaciółkom jakieś przezwiska, zarówno pogardliwe, jak i śmieszne; że pani Chalis ze swego majątku robi użytek najniemoralniejszy i najgłupszy; że rozdarła mi serce; że żyje w otoczeniu szalonych kobiet i głupców; że codziennie pokazuje się w tych małych teatrach, gdzie dają rzeczy, nie dość tego, że płaskie, ale jeszcze urażające uczucie wstydu, jaki matka dzieci powinna przynajmniej udawać, jeśli go nie ma; że z własnej winy, pozbawiwszy się wszelkiego rozsądnego kierownictwa, a naciskana przez towarzystwo, które swymi przykładami umie tylko zwrócić kobietę z drogi jej obowiązków, pani Chalis zeszła może skrycie, czego nie chcę badać, aż na ostatni stopień sprzeniewierzenia się — na to wszystko niema już lekarstwa! Są to opłakane skutki położenia, okolicznościami wywołanego. Wszystkiego tego na ten raz rozstrząsać nie chcę, cierpliwie wyglądając chwili, w której wszystko będę mógł doprowadzić do porządku.

Ale doszliśmy już do ostatnich granic tolerancyi, i nie chcę by te były przekroczone.

Jeżeli dobrowolnie odwracałem oczy od niektórych zboczeń, to skandal, w każdej chwili znajdzie mnie gotowym do działania. Nazwisko moje nie obchodzi mnie osobiście, gdyż poczytuję siebie za umarłego. Ale ma ono w moich oczach znaczenie wielkie, o ile jest nazwiskiem moich dzieci. Niech mówią o ich matce, że, idąc za przykładem tylu innych kobiet nie mogła się oprzeć prądowi zabaw współczesnych, że żyła życiem bezużytecznem, złożonem z rozrywek nie bardzo właściwych i zabaw poprostu niedorzecznych, że zły użytek robiła ze swego majątku, że obojętnością odpowiadała na moje przywiązanie, to wszystko mogę tolerować. To jest naganne, ale nie hańbiące.

Ale nie chcę, by mówiono o pani Chalis jako o kobiecie mającej licznych kochanków.

Otóż, kochany przyjacielu, w chwili odjazdu, gdyż niebezpiecznie tu dla mnie przebywać dłużej, nie będę żądać od pana rzeczy zarówno niezgodnych z szacunkiem, jaki winieneś pan sam sobie, ani ze stanowiskiem, jakie zajmujesz w moim domu. Chcę tylko i usilnie proszę, nie o to byś coś uważał, czemuś zapobiegał, ale tylko w razie, gdyby wypadki wzięły taki obrót iż trzebaby być ślepym, by ich nie widzieć, byś dał mi możność stłumienia skandalu, przesyłając mi telegrafem ten jeden wyraz, który zrozumiem: „Powracaj!"

LXVII.

Nakoniec hrabia umilkł. Wielki czas był po temu. Gdyby mówił o jedną sekundę dłużej, to pomięszanie moje wykryłoby mu całą głębię przerażenia, jakiem przejmowało mnie jego żądanie.

To co mówił, było bezwątpienia bardzo trafnem, to czego żądał odemnie, zapatrując się z jego stanowiska, zdawało się zupełnie słusznem; ale z powodu stosunków, jakie istniały między mną a hrabiną, rola którą mi powierzył, wydała mi się najokropniejszą ze wszystkich ról możebnych.

Jedna ta myśl, że ja, nawet w celu zachowania honoru jej dzieci, zawiedziony przez hrabinę, mam ją denuncyować, ją, której gorące wyrazy były mi jeszcze pamiętne, która powierzyła się mnie, lekkomyślnie, bezwątpienia, ale z pełną ufnością w uczucie, jakie we mnie rozbudziła, sprawiała mi wstręt nieprzezwyciężony. Gdyby tylko o mnie chodziło, i gdyby nie powstrzymywała mnie okoliczność, o ile zgubną będzie szczerość swoja dla samej pani Chalis, to wstałbym i powiedziałbym hrabiemu: Wezwij pan kogo innego do pomocy w ukaraniu swej żony! ja tego uczynić nie mogę. Byłem jej kochankiem!

Ale tu wypadało mi postąpić z największą ogłędnością. Położenie było niebezpieczne, należało działać szybko, gdyż hrabia patrzał na mnie, czekając na odpowiedź z gorączkową niecierpliwością. Widocznie nie miałem żadnego uczciwego sposobu wycofania się z labiryntu w jaki się wplątałem; pojąłem, że położenie moje skazuje mnie na to bym oszukiwał hrabiego; że ze wszystkich nikczemności, jakie miałem do wyboru, ta była najmniejszą.

I z wściekłością w sercu, ale zarazem ze stanowczością, która zdziwiła mnie samego, ułożywszy sobie w duchu, iż złamię dane słowo, dałem je hrabiemu bez wahania.

LXVIII.

Tegoż samego dnia, po obiedzie, hrabia odjechał. Żona odprowadzała go do dworca kolei. Trudno mi tu opisać jak czułem się upokorzonym i jak upadłem na duchu.

W godzinę potem, gdy dzieci poszły spać dwukrotnie zadzwoniono przy bramie pałacowej co znaczyło, że hrabina powróciła do domu Dreszcz mnie przeszedł, gdym pomyślał, iż odtąd będziemy sobie stawać oko w oko, sami. Co to będzie? Chociaż niezmiernie przykre były mi te wszystkie myśli, dalekim jednak byłem od przewidzenia tego co mnie czekało.

Siedziałem w moim pokoju, wsparty na stole i pogrążony w rozważanie tego wszystkiego co zaszło. Brama pałacowa została zamknięta, gaz na dziedzińcu i na schodach zagaszono; była zaledwie dwunasta godzina w nocy, a wszyscy już spali.

Znużony długiem wytężaniem umysłu, zamierzałem już położyć się, gdy w tem owiał mnie prąd zimnego powietrza.

Podniosłem głowę. Drzwi mego pokoju były otwarte, choć nie słyszałem kiedy się to stało — a tuż obok portyery, nieruchoma, milcząca, z wzrokiem utkwionym we mnie, stała hrabina Chalis.

Po raz to pierwszy, od czasu jak mieszkałem u niej, hrabina raczyła wejść aż na trzecie piętro i przybyć do mnie.

Zerwałem się, poznawszy ją, nie mogąc pojąć czegoby chciała odemnie w takiej porze, obawiając się wszystkiego i wszystkiego się spodziewając. Hrabina zamknęła drzwi i przybliżała się ku mnie. W przewidywaniu jakiej gwałtownej sceny, rzekłem do niej:

— Bądź pani ostrożną! Dzieci jej śpią tuż obok.

— Wiem o tem — odpowiedziała — ale pan musisz mieć jeszcze inny pokój.

I wziąwszy moją lampę, poszła do drugiego pokoju.

Gdym tam wszedł za nią, hrabina zaczęła od tego, iż zamknęła drzwi, potem z pozornem zajęciem poczęła oglądać wszystkie sprzęty. Ubiór, jaki miała na sobie, był wykwintny i szczególny. Składał się on z rodzaju szlafroczka z różowej, jedwabnej materyi, okrytego zupełnie drugim takim szlafroczkiem z koronek. Pyszny ten strój w bogatych fałdach okrywał jej kibić i z tyłu wlókł się na metr długości. Jasne jej włosy, niedbale związane na wierzchu głowy, osłaniały cudną szyję. Ręce kryły się w szerokich rękawach. Na nogach miała prześliczne różowe, atłasowe buciki.

Pomimo pomięszania, jakiego doznałem ujrzawszy ją tak świetnie wystrojoną, zauważyłem, iż wraz z wejściem hrabiny rozszedł się po pokoju silny zapach heliotropu i róży. Perfum tego rodzaju, które dla hrabiny robił umyślnie Houbigant, nie używała ona od czasu powrotu naszego z Aix, co jej kilka razy wymawiałem, gdyż szczególnie lubiłem ten zapach. Niepojętem mi się wydało dlaczego dziś właśnie uperfumowała się niemi.

W naiwności mojej, przypuszczając, iż przyszła dlatego jedynie, by mi oświadczyć, iż nie mam już w jej domu miejsca, drżałem, stojąc przed nią.

Hrabina nie czuła się bynajmniej zażenowaną. Postawiwszy lampę na stole, spokojnie zwróciła się do mnie. Potem, — napisano widać było — iż zawsze dziwić mnie będzie, powiedziała tonem wyrzutu:

— Już mię pan nie kochasz? prawda?

Myślałem w pierwszej chwili, iż źle zrozumiałem, do tego stopnia zapytanie to znajdowało się poza obrębem mych oczekiwań.

Hrabina usiadła w fotelu i zapytała powtórnie:

— Już mię pan nie kochasz? prawda?

— Z czegóż pani wnosi, że jej nie kocham już? — odrzekłem, nie zdając sobie należycie sprawy z tego co mówię. — Zdaje mi się, iż to ja raczej miałbym prawo wyrzucać pani jej obojętność, mogę nawet powiedzieć: jej nienawiść.

— O! tak! — odrzekła, spuszczając głową, rozumie się, że ja jestem zdolną do wszystkich niegodziwości. Mąż mój musiał panu opowiedzieć co do tego wiele ciekawych rzeczy.

— Mąż pani nic mi o niej nie mówił, prócz tego co pani sama powiedziała mi o sobie.

Przerwała mi tym prostym wykrzyknikiem:

— A!...

Ale był w nim taki wyraz pogardliwego niedowierzania, iż nie mogłem rzec ani słowa.

— Ha! — rzekła wstając i dąc ku drzwiom — widzę dobrze, iż pan nie kochasz mnie już.

Pobiegłem za nią i wziąwszy za obie ręce, z drżeniem, którego nie mogłem powstrzymać, powiedziałem:

— Błagam panią! wysłuchaj mnie! Nie wiem co pani myśli, nie wiem nawet po co pani tu przyszła. Ale czuję, że w tej chwili rozwiązuje się między nami zadanie największej wagi. Niech pani nic nie postanawia, nie wysłuchawszy mnie.

— Ach! mój Boże! — zawołała uśmiechając się. — Słucham pana.

Usiadła przy stoliku i wziąwszy pióro, poczęła się zabawiać kreśleniem czegoś na papierze.

Ja, zdziwiony na razie zwrotem jaki nadała naszej dyskusyi, począłem powoli przychodzić do siebie. To pewna, że od dawna, a zwłaszcza od ostatniej mej rozmowy z mężem, nie robiłem sobie żadnych iluzyi co do charakteru hrabiny. Ale namiętność jaką mnie natchnęła, była jeszcze tak żywą, iż pomimo wszystkiego co zaszło między hrabiną a mną, w tej chwili — wyznaję to ze wstydem — wszystkie moje myśli zwracały się ku temu, czyby się w jakikolwiek sposób nie udało dojść do zgody?

— Jeżeli pani kochasz mnie jeszcze, to pozwól że zapytam ją, dlaczego od czasu jak tu mieszkam, nie okazałaś mi żadnej sympatyi?

— Chcesz pan wiedzieć?

— Tak.

— Otóż dlatego, iż upatrywałam coś upokarzającego mnie w stanowisku, jakie pan zająłeś w moim domu.

— Ale dziś nic się nie zmieniło w tem stanowisku!

— Dziś inaczej myślę.

— Z jakiego powodu?

— Zawsze masz pan pasyę wypytywać się!... — odrzekła ruszając ramionami i nie przestając coś gryzmolić na papierze.

— Jeżeli pani nie żąda odemnie wyjaśnień i sama ich dać mi nie chce, to zapytuję, co panią tu sprowadziło?

— Przyszłam by się przekonać czy pan kochasz mnie jeszcze.

Usłyszawszy to uczułem jakieś ściśnięcie serca. Przekonany byłem, że hrabina kłamie, że krok który zrobiła nie był bezinteresownym. Ale jaka konieczność mogła ją do niego zniewolić? Wahałem się zapytać.

— Jeżeli kocham panią, to co mam uczynić by ją o tem przekonać?

— Rzecz bardzo prosta.

— Ale jaka?

— Opowiedzieć mi wszystko co mówiliście z hrabią.

Po tych słowach nastało głuche milczenie. Hrabina patrzała na mnie z najzupełniejszym spokojem, jako osoba czująca się w swojem prawie, robiąca rzecz najsłuszniejszą i zupełnie naturalną. Ale ja, powiernik jej męża, który nie umiałem i nie mogłem uniknąć jego zwierzeń, ja, który pozwoliłem na to, iż odjechał, zupełnie ufając przyrzeczeniu które mu dałem, lub raczej które mi wyrwał, ja, który dając mu to przyrzeczenie z zamiarem zdradzenia go, sądziłem, iż popełniam tem największą nikczemność — w jakimże położeniu znalazłem się teraz!

— To być nie może! — odrzekłem z ruchem odrazy, której nawet nie starałem się ukrywać.

— A to dlaczego? — zapytała hrabina z tym samym spokojem.

— Nie mogę zdradzić zaufania męża pani.

— Czy wolisz pan zdradzić moje zaufanie?

A gdym nic na to nie odpowiadał, przerażony tem co widocznie gotowało się dla mnie, hrabina mówiła dalej, uśmiechając się:

— Przyznaj pan, że masz szczególniejsze skrupuły i śmieszne wyobrażenia o naturze swych obowiązków. Słuchajno pan! Usiądź tu u nóg moich, podaj mi rękę, i patrz na mnie dobrze; otworzę mu całą moją duszę. Mam pana za bardzo uczciwego, ale przecież nie możesz temu zaprzeczyć, iż zbałamuciłeś cudzą żonę. To rzecz bardzo ważna i wkłada na pana pewne obowiązki. Jeżeli zdecydowałam się zaryzykować dla pana to co kobieta powinna poczytywać za rzecz najświętszą, to jest moją reputacyę, to pan, ze swej strony, co najmniej powinienbyś dopomagać mi do tego bym się obroniła. Mąż mój to człowiek podejrzliwy, niespokojny, mściwy, jak zresztą wszyscy chorzy. Ma on żal do mnie, domyślając się, że serce moje odwróciło się od niego. Robiłam co tylko mogłam, by go nawrócić, i nie udało mi się to. Co zamyśla przeciw mnie, tego nie wiem, ale czuję, że coś układa sobie; w każdym razie nie będzie to nic miłego dla mnie. Pan go oszukiwałeś razem ze mną, znajdowałeś nawet bardzo słodkiem takie oszukiwanie. W tej chwili, w kilka godzin po jego odjeździe, oszukałbyś go znowu, gdybym tylko chciała... Teraz, idzie o to, byśmy się naradzili i ułożyli plan postępowania, by się zabezpieczyć przeciw gwałtownościom mego męża, a pan się wahasz i nie chcesz mi dać żadnych wyjaśnień niezbędnych! Dawniej mówiłeś mi pan, iż stoję w jego sercu wyżej nad wszystkie istoty, że dla mnie gotów jesteś narazić swoje szczęście! swoje życie, i nie wiem co jeszcze! Że dla mnie tylko żyjesz!

Zgadzam się z panem, że był to sposób wyrażania się, właściwy wszystkim zakochanym, do którego nie należy przywiązywać większej wagi, jak na to zasługuje; ale w każdym razie, nie mogę przypuszczać, by hrabia Chalis stał w jego sercu wyżej odemnie; wszak prawda? A jeżeli w zwierzeniu się, którego od pana wymagam, jest coś takiego... coś, coby obrażało delikatność, to powiedz pan sam, czy ja, kochając go, powstrzymywałam się takimi względami? Dla pana popełniłam największy błąd, jaki tylko popełnić może kobieta. A więc, odmierz mi taką samą miarką; albo powiem, że mnie już nie kochasz!

Nie podejmuję się opisać tu jak wyglądała, gdy to mówiła, jak błyszczały cudne jej oczy, ile uroku było w jej głosie i jakie wrażenie na mnie wywierało to, że trzymała mnie za ręce, że ją czułem tak blisko siebie, wśród milczenia i samotności nocy, po czterech miesiącach gniewu, nienawiści i marzeń samotnych!

Wszystko jej opowiedziałem.

LXIX.

— O! byłam przekonaną, że pan zawsze mnie kochasz! — zawołała hrabina, ściskając moją rękę, gdym skończył opowiadanie, którego słuchała z nadzwyczajnem zajęciem.

— W godzinę potem byliśmy już w najzupełniejszej zgodzie. Ale, opamiętawszy się nieco, zdziwiłem się, iż hrabina znowu usiadła przy stoliku i, jak przedtem, poczęła coś gryzmolić.

Poszedłem ku niej, by zobaczyć, co też może pisać. Był to niezmiennie jeden i ten sam frazes: „Kocham cię". Powtarzał się od góry kartki aż do dołu, głoskami wyraźniemi kilkanaście razy. Na samym końcu dopisane było: „Ubóstwiam Karola Keronan podpisano; Hrabina Chalis.".

Musiałem się uśmiechnąć na takie dziecinstwo. Hrabina śmiejąc się jeszcze bardziej, rzuciła w ogień ten autograf, i podającj mi pióro, wezwała bym usiadł przy niej.

Wtedy ja, żartem naśladując ją, co zapewne przewidzieć musiała, napisałem także na czystej kartce:

„Nigdy nie kochałem i kochać nie będę nikogo, prócz tej, której od dwu już lat poświęciłem całe moje życie, tej która pogodziła się ze mną dzisiejszego wieczora, to jest: pięknej Diany Chalis".

I podpisałem.

— To bardzo miło z pańskiej strony, — rzekła hrabina, która, podczas gdym pisał czytała wyraz za wyrazem, stojąc za mną. — Ale brakuje tu jeszcze jednej rzeczy.

— Jakiej?

— Daty.

Śmiejąc się jak szalony, dopisałem datę.

Hrabina wzięła kartkę, potem złożyła ją we czworo, udając wielką powagę, i schowała.

Było już późno. Powiedziała, że chce odejść do siebie.

Przeprowadzałem ją po schodach, trzymając świecę w ręku. Gdyśmy stanęli przy drzwiach jej pokoju, na pierwszem piętrze, w chwili gdym chciał ucałować jej rękę, cofnęła się nieco, i wydobywszy moją kartkę, powiedziała, pokazując mi ją:

— Teraz, gdyby przyszła panu kiedy ochota wdać się z moim mężem w korespondencyę o mnie, to posłużę się tem by ukarać pana.

LXX.

To kobieta!

Przez całą noc oka zmrużyć nie mogłem.

Wszystko co zaszło między nami w ciągu tego wieczora, kolejno przez myśl mi przechodziło, i co chwila wykrzykiwałem z przerażeniem:

— To kobieta!

Najwięcej zaś upokarzało mnie to, iż uznała za potrzebne przedsięwziąść względem mnie takie ostrożności. Na myśl o położeniu w jakiem okoliczności postawiły mnie w obec jej męża, rumieniłem się ze wstydu. Niestety! jedno, czego nie przewidziałem, wchodząc w ten przeklęty związek, było to, iż mąż mógł się okazać człowiekiem najsympatyczniejszym, i że poweźmie zamiar zwierzenia się mnie ze wszystkiem. Ale któż na mojem miejscu mógłby to przewidzieć?

Na drugi dzień spodziewałem się ostatecznego zerwania z hrabiną. Bo rzeczywiście, zawładnąwszy głupiem mojem pismem, które oddawało mnie w jej moc, że tak powiem, z rękami i nogami skrępowanymi, hrabina nie miała już potrzeby obawiać się mnie, a zatem i przyczyny oszczędzania mnie.

Myśl ta dowodziła, iż jeszcze mało ją znałem.

Była ze mną, owszem, od tej chwili nader uprzejmą i pełną względów. Najmniejszego napomknienia nie zrobiła o tem co zaszło. Tylko od owego dnia mniej się krępowała, a raczej, nie krępowała się zupełnie i zaczęła żyć według swej fantazyi. Bardzo mało dbając o to, co mogę myśleć o niej, znajdowała wygodnem dla siebie, a nawet dowcipnem, to, że jej „dozorca" grał poniżającą rolę „parawana".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Jeszcze tydzień temu wstecz niejedna Weronika zwracała się do swojego małżonka ze słowami:

— Ja sobie poprostu nie wyobrażam, jak będą wyglądały tegoroczne Święta Wielkanocne bez święconego!.. To poprostu straszne, że się tak samochcąc zaprzepaszcza najpiękniejsze tradycye narodowe!

— A jednak musimy się z tem pogodzić, skoro inaczej być nie może!.. — odpowiadał pan domu ze spokojem, jakiego nie powstydziłby się nawet i ś. p. Dyogenes, należący niegdyś do najbardziej zrównoważonych umysłowo obywateli Grecyi.

Tydzień minął od tego czasu, Święta Wielkanocne przyszły i przeszły, dziś spoglądając poza siebie, dochodzimy do wniosku, że można się zupełnie spokojnie obejść bez dawnego hucznie obchodzonego święconego, a wyjdzie się na tem dobrze pod każdym względem, przedewszystkiem nie ucierpi zaś zdrowie, które w poprzednich latach po świątecznych perypetyach trzeba było już we środę naprawiać Morrissonem, gorzką wodą lub podobnymi smakołykami, pochodzącymi z łacińskiej kuchni.

Obżarstwo i pijaństwo, któremi w okresie wielkanocnym grzeszyli nasi przodkowie, należą tylko do tradycyi, czytając dawne opisy święconego, podziwiamy ich apetyt i pragnienie i mimowoli zadajemy sobie pytanie, ile pieniędzy kosztowałoby to w dzisiejszych warunkach, gdy „lis", czyli tysiącmarkówka stała się najniższą monetą obiegową. Nie ulega kwestyi, że i w roku bieżącym tu i ówdzie można się było spotkać ze święconem, urządzonem wcale przyzwoicie, przypominającem zupełnie przedwojenne czasy, nie dla każdego jednak dostępne były te progi, w których obcego intruza w wytartym surducie widzi się bardzo niechętnie, choć się go z łaski toleruje, o ile jest na coś potrzebny, bodajby do celów dekoracyi, do czego służyli niegdyś jenerałowie rosyjscy, wynajmowani za pewną opłatą. Paskarz lub lichwiarz, nie potrzebujący się liczyć z groszem i czekać na dodatki drożyźniane lub podwyżki, bo płyną mu one same codziennie i to bardzo szerokim korytem, mógł sobie pozwolić na rzucenie i kilku milionów na cele urządzenia święconego, skoro u nas, o ile się ma na to fundusze, można się zaopatrzyć we wszystko, czego dusza, a przedewszystkiem żołądek i gardło zapragnie. Natomiast całe mnóstwo rodzin, które przed wojną, a także w pierwszych jej latach, tradycye święconego utrzymywały, choć z coraz większem ograniczeniem, w roku bieżącym widziały się zmuszone do zerwania z niemi. Z dawnych lat pozostało jedynie kropidło i baranek wielkanocny, o ile ten ostatni był z gipsu, a nie z cukru, gdyż w tym drugim wypadku paść musiał ofiarą głodu cukrowego, jaki nam stale dokucza choć magistrat stara się od czasu osłodzić naszą gorzką dolę, a Polska jest krajem rolniczym, produkującym wystarczającą dla ludności ilość tego słodkiego specyału. Ale cukier, podobnie, jak i inne artykuły pierwszej potrzeby, jedzie za granicę, skąd wzamian otrzymujemy sztuczne nawozy, choć gdyby na miejscu pozostał i rozdzielony został między ludność, może i obeszłoby się bez nich. Od tego jednak mamy Urząd przywozu i wywozu, aby ogałacał nas ze wszystkiego, co stanowi nadmiar, za który u nas uważa się wszystko po wyżej zera, wychodząc z założenia, że, skoro możemy się obejść bez innych artykułów, nie wyrządzi nam krzywdy brak tych, na które właśnie zagraniCą jest popyt.

Ale samo kropidło i baranek do urządzenia święconego nie wystarczą, potrzeba do tego i innych jeszcze rzeczy, stałych i płynnych, stanowiących niegdyś nierozłączną całość, bez której, jak nam się wydawało, nikt się obejść nie potrafi bo, czy wyobrażał kto sobie Święta Wielkanocne bez święconego jajka, po którem następowały kolejno rozmaitego rodzaju przeważnie świńskie delikatesy, zakrapiane obficie dla tem łatwiejszego strawienia czy to wódeczką, winem, piwem lub miodem, nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju słodyczach, w postaci bab, jajeczników, placków, tortów i rozmaitych innych bałabuchów, stanowiących chlubę gospodyni, choć przez płeć brzydką, jako mniej wrażliwą, przeważnie nie respektowanych. A wszystko to miało się kosztem kilkudziesięciu koron. Najadł się każdy tem i opił jak bąk, nie żałował gościom, nic też dziwnego, że nastrój wielkanocny był stale bardzo podniosły, u niektórych rozpoczynał się już w Wielką Sobotę po rezurekcyi zamkowej i trwał nieprzerwanie do wtorku wieczór, t. j. do końca Rękawki. Żal za grzechy i pokuta rozpoczynały się we środę, aby się pozbyć zaległości i przygotować godnie na najbliższą niedzielę i poniedziałek, tak zwane „przewodnie", kiedy to na Kleparzu urządzało się święcone. A dawniej Kleparzanie znani byli szeroko ze swej prawdziwie staropolskiej gościnności, kto nie jadł i nie pił, ile się zmieści, a nawet ponadto, ten był ich wrogiem.

Z biegiem lat malały te staropolskie cnoty coraz bardziej, w roku Pańskim 1923 zeszły zupełnie do zera, z dawnych lat pozostały jedynie wspomnienia czasów, które prawdopodobnie nigdy już nie wrócą. Ten i ów fundnął sobie wprawdzie jakąś kiełbasinę, ta i owa upichciła jakiegoś gnieciucha, znalazło się i tradycyjne jajko święcone, ale wszystkie te specyały chowało się zazdrośnie przed okiem ewentualnych gości, którym się życzyło w duchu, aby sobie poszli dalej jak najprędzej. Choć to był dzień pierwszego kwietnia, czyli „zwodziciela", ludzie mówili wyjątkowo prawdę, która streszczała się naogół w słowach:

— Takich świąt, jak tegoroczne, nie pamiętam!

— Urzędnikom wypłacono wprawdzie płace za kwiecień już w dniu 28 marca, mieli zatem pieniądze w kieszeni, a co zatem idzie i pewniejsze siebie miny, ale na robienie świątecznych zakupów było już zapóźno, na czem zresztą wyszli o tyle dobrze, że zaoszczędzili trochę monety, a wiadomo, że dziś ogólnie nawołuje się do oszczędzania, a urzędnicy powołani są do tego, aby reszcie społeczeństwa świecić nie tylko dziurawymi łokciami, ale i przykładem. Najżałośniej płakali emeryci i emerytki, gdyż zapowiedziano im wypłatę poborów do piero na dzień 3 i 4 kwietnia, lecz wytłómaczono im, że tutaj rozchodzi się o ich zdrowie, o ile bowiem nie będą mieli pieniędzy przed świętami, nic nie kupią a tem samem żołądka nie obciążą, czyli uchronią się, tylko dzięki pieczołowitości rządu, od niechybnej słabości.

W myśl dawnych tradycyi Wielkanocną Niedzielę spędził prawie każdy z nas pod rodzinnym dachem, przy domowem ognisku, gdzie spożył, co Bozia dał, ale narzekał, że to mało, zwłaszcza, że trzeba się było obejść „na sucho", o ile się jest lojalnym obywatelem i przestrzega ustaw, normujących używanie płynów alkoholowych, bo o wodzie nie myślimy nawet, aby gminy naszej nie narażać na szkodę. Kto miał znajomych na Zwierzyńcu, ten próbował szczęścia, aby się przekonać, czy dobrobyt w gminach przyłączonych jest taki sam, jak w starym Krakowie, mniejszy lub większy. To samo powtórzyło się we wtorek z Podgórzem, gdzie staraniem „Sokoła" odbyła się tradycyjna Rękawka ze spinaniem się po słupie, w czem jednak inteligenci z powodu niepewnego stanu swej garderoby przeważnie udziału nie brali. Natomiast skakanie we worku miało wśród nich wielu zwolenników. Nauczyło ich tego życie, które dziś nie jest niczem innem, jak skakaniem we worku. Naogół skonstatowano, że tak Zwierzyńczanie, jak i Podgórzanie niczem nie różnią się od Starokrakowian, że staropolska cnota gościnności, z której niegdyś tak byli dumni, należy dziś tylko do wspomnień, gdziekolwiek się bowiem pokazałeś, czekano na ciebie z obiadem, ale należy rozumieć to w ten sposób, że czekano, abyś sobie poszedł, by rodzina mogła swobodnie zabrać się do spożycia darów Bożych.

W najszczęśliwszem stosunkowo położeniu są w okresie świąt ci, którzy należą do licznych naszych stowarzyszeń. wszystko jedno czy one są naukowe, czy mają kierunek humanitarny, sportowy lub inny. Przyjęło się u nas ogólnie, że w instytucyach tych łączy się przyjemne z pożytecznem, t. j. w tym wypadku święcone dla członków dajmy na to z obchodem imienin prezesa, albo też dwudziestopięciolecia społecznej pracy panny sekretarki. Posyła się w tym celu zawiadomienia, wyznaczając wysokość wkładki, jaką każdy głodny i spragniony ma uiścić, kalkulując ją w ten sposób, aby była stosunkowo jak najprzystępniejsza i zachęciła członków do tłumnego jawienia się na uroczystym obchodzie.. W dzisiejszych warunkach wkładka oznaczona przypuśćmy na sześć tysięcy marek, nie jest właściwie wcale wygórowaną, bo niechajby gość wypił tylko jeden kieliszek wódki, przegryzł ją chlebem ze szynką, a potem przepłukał gardło dwiema szklaneczkami piwa, to kredyt już wyczerpany. Ale na takich zebraniach liczy się na to, że większość przybędzie dla idei, a tacy ludzie z wstrętem spoglądają na jadło i napitek, mniejszość zaś dla interesu, by sobie za owe sześć tysięcy pojeść porządnie i gruntownie popić, skoro trafia się okoliczność, a że przytem muszą wysłuchać całego szeregu przemówień, najczęściej kupy się nie trzymających. ich to wcale nie boli, puszczają je mimo uszu, gdyż przybyli jeść i pić a nie bawić się w jakieś wzajemne kadzenie sobie lub politykę.

Ci praktyczni ludzie, o których właśnie mowa, korzystają też z każdego podobnego zawiadomienia, ale apetyt ich i pragnienie nie cieszy bynajmniej gospodarzy, oni natomiast sami są ze siebie najzupełniej zadowoleni i, wróciwszy do domu, znajdują w tem pełną satysfakcyę, że mogą liczyć, ile tysięcy warte to wszystko, co spoczęło w ich przepastnych żołądkach, nie wspominając już o tem, że ten i ów nie zapomniał także i o swej rodzinie i coś kolwiek przyniósł ze sobą „na próbę". W tym celu każdy z uczestników takiego zebrania stroi się zwykle w surdut z możliwie najgłębszemi kieszeniami, skromniejsi zadowalniają się zaopatrzeniem się w papierosy na dłuższy przeciąg czasu.

Takich wybrańców było jednak, procentowo licząc (dzisiaj wszystko u nas oblicza się procentowo!...), nie wielu, a to z powodu, że nie wszystkie instytucye mogły się zdobyć na urządzenie dla członków święconego, do którego najczęściej trzeba z funduszów towarzystwa pokaźnie dopłacić. Reszta musiała się zatem obejść smakiem i przez dwa dni Świąt Wielkanocnych rozmyślać o znikomościach tego święta, siedząc przeważnie w domu, bo, wiadomo, spacer wzmaga jeszcze bardziej apetyt i pragnienie, a coraz trudniej je zaspokoić. Niektórzy ze znanych na naszym bruku działaczy, tak dalece odsunęli się w tym czasie od zwykłego zgiełku światowego, że pozwolili się zamknąć w murach poklasztornych, zdala od wrzawy wiwatujących lichwiarzy i paskarzy. Święty Michał, były c. k. Patron Galicyi roztacza często jeszcze i dzisiaj opiekuńcze swe skrzydła nad narodem, a na pochwałę trzeba mu przyznać, że się nie powoduje względami, ani dla płci, ani dla rasy, ani dla wyznania. Każdy mu miły, kto chce spędzić pewien czas na osobności.

Takich wyjątków jednak nie można uważać za regułę. W jej myśl większość przebywała we własnym domu, a tematem rozmyślań były przeważnie obecne stosunki tak polityczne, jak i ekonomiczne, jedne z drugimi w ścisłym związku pozostające. Jest on tak silny, że gdy pogarszają się stosunki polityczne, idą za nimi w ślad zaraz i ekonomiczne, gdy natomiast pierwsze zaczną się poprawiać, drugie psują się w dalszym ciągu. Nie brakło także i weselszych tematów do rozmyślań, jak naprzykład, skąd się Szwedzi mogli wziąć w Krakowie w trzynastym wieku, jak o tem doniół jeden z historyków „codziennych". Nasuwa się przypuszczenie, że owi Szwedzi, bo musieli być nimi, skoro tak historyk twierdzi. przebierali się za Tatarów i dokuczali naszym pradziadom. Przyrodnik łamał sobie głowę nad tem, jak mógł wyglądać ów sławny przedpotopowy *Skikantylos magnus*, pokryty tarczami kostnemi i najeżony kolcami o długości prawie metra. Z jednej strony żal się robi człowiekowi, gdy pomyśli, że owe cudaczne bestye już w zupełności wyginęły, z drugiej jednak musi im przyznać, że miały rozum, gdyż ładnie wyglądałby dziś taki olbrzym, gdyby sobie chciał podjeść należycie bodajby raz na dzień przy dzisiejszych cenach targowych.

Te i tym podobne rozmyślania zabijały czas świąteczny, a ożłacała go nadzieja, że następna Wielkanoc będzie już stanowczo lepsza.

Zgon Sary Bernhardt.

„Nieśmiertelna“ Sara Bernhardt umarła naprawdę. Była przez długie lata wcieleniem niewieściego czaru, symbolem poezyi, linii, ruchu i wyrazu, uosobieniem piękna mowy. „Złotem“ swego głosu nadawała nieprzeparcie pociągający urok francuskiemu słowu, a nerwową tkliwością swojej kobiecej genialności trzymała w niewoli serca całego pokolenia, zachwyconego i wybrednego. Wniosła na scenę cały szereg nieznanych i wzruszających giestów niewieścich, całą galeryę zaklętych form, giętkich i ponętnych, obcą dotychczas oku sztukę pieszczoty i mocną, choć kapryśną patetyczność miłosnego wybuchu.

Była wielką artystką i wielką kobietą. Już miała lat pięćdziesiąt kilka, a jeszcze panowała nad zazdrosną wrażliwością swych wymagających zwolenników. Jeden z nich, najbardziej rozkochany w jej sztuce, najbardziej strwożony jej nadchodzącym zmierzchem, życzył, aby artystka — niezmordowana, wciąż jeszcze młoda, wśród ogni rampy i majestatyczno-wytwornych aleksandryn Racine'a, skonała kiedyś na scenie od sercowego spazmu. Los odmówił jej tak bohaterskiej i poetycznej śmierci. Żyła jeszcze prawie lat dwadzieścia pięć, ale te ostatnie lata były wzruszającym obrazem zwycięskiej walki ducha z materyą, talentu z uwiądem, woli życia z nieubłaganem prawem natury. Niegdyś burzliwa, sensacyjna egzystencya wielkiej artystki przeradzała się powoli w głęboką lekcyę idealizmu i wdzięczna pamięć wzruszonych nowych pokoleń zachowała nietkniętem wspomnienie o byłym czarze, byłym niezrównanym artyzmie biednej, wielkiej starej kobiety.

Miała trzy znaczne okresy życia: pierwszy od chwili ukończenia konserwatoryum do głośnego wystąpienia z „Komedyi Francuskiej“ od 1862 do 1880 r. Tutaj w Paryżu napoleonowskim i repu-



„Kontrakty kijowskie“: Grupa członków komitetu „Kontraktów kijowskich“. Prezes komitetu W. J. Wwiedeński (x).

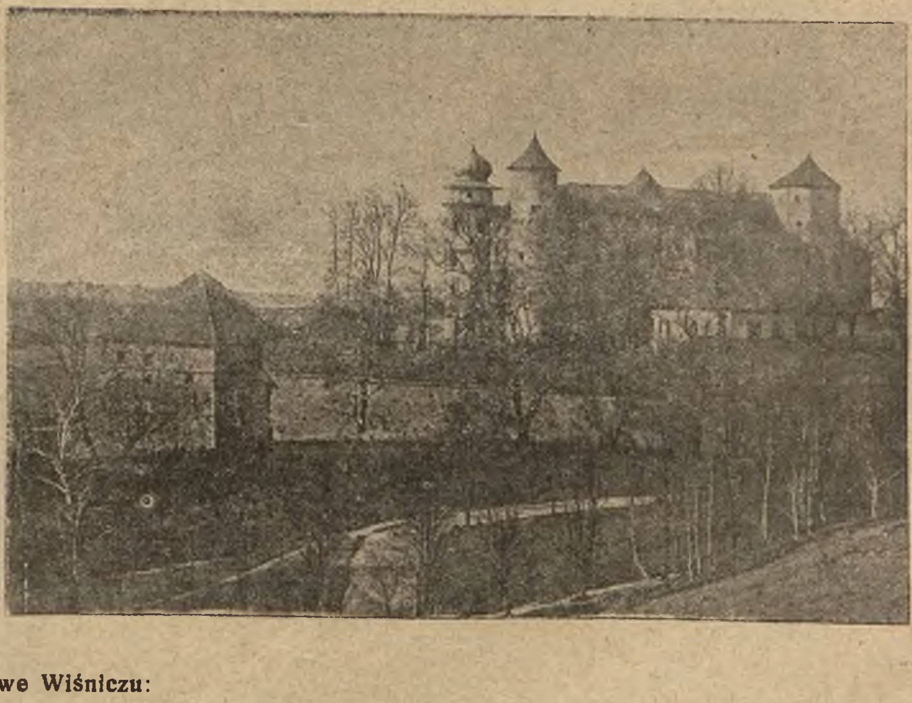


„Kontrakty kijowskie“: Publiczność przed domem kotraktowym.



„Kokosza wojna“ we Wiśniczu: Były wikaryusz parafii wiśnickiej, ks. Faron.





„Kokosza wojna“ we Wiśniczu:

Grupa Wiśniczanek, oskarżonych o stawianie oporu przy usunięciu ks. Farona.

Zamek wiśnicki, niegdyś rezydencya Kmitów i Lubomirskich.



„Kontrakty kijowskie“: Delegacya „Targów Wschodnich“ wraz z przedstawicielami poselstwa polskiego w Charkowie i reprezentantami „Kontraktów kijowskich“ na tle miejsca wystawowego Targów Wschodnich.

„Kontrakty kijowskie“.

Bolszewizm zbankrutował. Widzą to najlepiej sami bolszewicy w Rosyi i rozpoczęli tam odbudowę tego, co przez kilka lat z taką zajadłością burzyli. Ten swój odwrót usiłują jednak nadal zamaskować frazesami o „kapitalizmie na służbie proletaryatu“. Nie zmienia to jednak faktu, że obecni władcy Rosyi przy pomocy prywatnego, obecnie obcego kapitału czynią próby aby uruchomić swój przemysł i ożywić na nowo handel. W tym celu też pragną wskrzesić tradycye dawnych jarmarków. Wszystkie te jednak próby, dokonywane z bolszewickiem doktrynerstwem, kończą się przeważnie fiaskiem. Takiem samem fiaskiem skończył się zorganizowany w Kijowie jarmark, zwany „Kontraktami kijowskiemi“. Bolszewicy wielkie pokładali w nim nadzieje i specyalnie zaprosili do udziału w tym jarmarku kupców polskich. Niestety, Polaków, którzy tam pojechali, spotkał gorzki zawód. Osoba, przybyła ostatnio z „Kontraktów kijowskich“ opisuje nam w sposób następujący swe wrażenia:



Z Opery krakowskiej: Helena Zboińska-Ruszkowska.

blikańskim, wytwornym, naiwnie zepsutym i odpornym na obce wpływy, młoda, chudziutka „Dona Sol“ i „Fedra“, „Hermiona“ i „Małgorzata Gauthier“ ujarzmiła raz na zawsze wyobraźnie.

Po zerwaniu z Paryżem, jednym z pierwszych etapów jej artystycznej wędrówki po Europie i Ameryce była Warszawa. Było to w 1881 roku. Była „Damą Kameliową“ poetyczną, tkliwą i wzruszającą; umierała z pomysłowością, nieco gimnastyczną ale budzącą grozę; była „Adryanną“ i „Gilbertą“ z „Frou-Frou“ i starą ślepą Rzymianką z „Rome vaincue“ Parodi'ego. Było to objawienie niezapomniane.

Potem rozwoziła po świecie, po Rosyi, Ameryce, Australii blask francuskiego słowa i sztuki. Była największą krzewicielką francuskiej kultury. Zbierała laury, pieniądze, brylanty i uwielbienia.

Stała się powoli wielką dyrektorką i reżyserką. Stary Sardou zaczął dla niej pisać szereg swych zbyt zręcznych, zimnych, paradnych sztuk „Teodora“, „Fedora“, „Tosca“, „Czarownica“, widowiska przeładowane, bezduszne. I byłby zmechaniczniał w tej sztuce talent artystki, gdyby jej gwiazda przewodnia nie przyprowadziła do niej Edmunda Rostand'a. Sara Bernhardt stała się jego opatrznością. On zaś świeżością swego poetycznego geniuszu wskrzesił w artystce gasnącą poezyę jej sztuki; była tajemniczą „Princesse Lointaine“ i „Samarytanką“ i „Orlątkiem“.

Pracowała do końca życia. Straciła nogę, grała siedząc. Stała się jednym z przykładów narodowej energii — przedmiotem niejakiego kultu. Umarła w 78 roku życia.



O fizyczne wychowanie naszej młodzieży: Uczestnicy i kierownicy zimowego Kursu przysposobienia rezerw, urządzonego przez krak. Związek Strzelecki. W pośrodku dowódca Kursu, kpt. Załuski obok por. Kaliński i chor. Borowiec.



Z Opery krakowskiej: Włodzimierz Wesołowski jako „Lohengrin“. Zakład fot. „Studio“.

Na Targach znajdowała się spora ilość eksponatów, ale tranzakcye wogóle nie dochodziły do skutku. Przyczyny trzeba szukać w działalności „Wniesztorgu“, który w potocznej mowie nazywają „Czerezwyczajką ekonomiczną“.

Na jednej z ostatnich konferencyi przedstawicieli „Wniesztorgu“ kijowskiego i kupców polskich zagranicznych, podano do wiadomości przepisy, które regulują sprzedaż towarów. Nic bez wiedzy „Wniesztorgu“ sprzedać nie można, a sprzedaż odbywa się w ten sposób: z chwilą gdy kupiec polski dochodzi do zgody z kupcem rosyjskim, ten ostatni musi się udać do „Wniesztorgu“, aby otrzymać pozwolenie na kupno towaru, przyczem kupiec nasz formalnie sprzedaje towar „Wniesztorgowi“, ten zaś odsprzedaje go kupcowi rosyjskiemu, który w rzeczywistości zawiera tranzakcyę. „Wniesztorg“ żąda od kupca rosyjskiego całkowitej należności za zakupiony dla niego towar, dając kupcowi naszemu tylko 25% zadatku, oraz 25% przy odebraniu frachtu ze Zdołbunowa, na pozostałe zaś 50% domagając się kredytu półrocznego, rocznego, a nawet dwuletniego, zależnie od firmy. Przy tego rodzaju biurokratycznym ustroju „Wniesztorgu“ żadne tranzakcye nie dochodzą do skutku.

Z 41 firm polskich i 20 firm zagranicznych, reprezentowanych na „Kontraktach kijowskich“, po miesięcznem ich istnieniu zdołano uczynić trzy tranzakcye wszystkiego na 1200 dol. i to jedynie dlatego, że kupcy polscy, nie mając widoków na szersze tranzakcye, zmuszeni byli do zawarcia pewnej ilości umów, aby móc pokryć choć w części koszty podróży, na jakie narazili się jadąc do Kijowa. Koszta te przeciętnie na jednego kupca wynoszą do 10.000.000 mk. pol. Kupcy polscy i zagraniczni w myśl informacyi, jakie posiadali w Warszawie od tamtejszego przedstawiciela „Kontraktów kijowskich“ p. Blicha mieli nadzieję, że będą mogli wymienić towar swój na towary rosyjskie, tymczasem postawiono im cenę podwójną wartości towaru w Warszawie i zażądano całkowitej gotówki, kategorycznie odmawiając im kredytu.

Niektóre z firm polskich otrzymały specyalne pozwolenia od „Wniesztorgu“ charkowskiego na wyjazd do Kijowa na sprzedaż towarów, jednak p. Tłomkin, prezes „Wniesztorgu“ kijowskiego, odmówił im kategorycznie sprzedaży tych towarów na kontraktach, proponując w drodze łaski za te towary gałgany, których wwóz do Polski jest zabroniony ze względu na panujące wciąż jeszcze w Rosyi choroby zakaźne. Początkowo były nadzieje, że nastąpią pewne ulgi ze strony „Wniesztorgu“, stosownie do obietnicy prezesa „Wniesztorgu“ charkowskiego. Nadzieje te jednak zawiodły.

Ogólnie działalność „Wniesztorgu“ daje się określić nie jako działalność instytucyi ekonomicznej, lecz politycznej. „Wniesztorg“ chce zmusić kupców polskich i zagranicznych do udzielenia Rosyi kredytu i tym samym do wzbudzenia wiary w trwałość władzy sowieckiej, wbrew ogólnie panującej opinii, według której nie należy liczyć ani na trwałość, ani na gwarancye republiki sowietów.

Poglądy moje — oświadczył nasz informator — podzielał przedstawiciel misyi handlowej włoskiej p. Cavalier Emerico z Medyolanu, z którym spotkałem się w Zdołbunowie. Podniósł on zarazem subordynacyę i grzeczność urzędników polskich komory celnej zdołbunowskiej, przeciwstawiając im pod tym względem urzędników podobnego urzędu sowieckiego w Odessie. Urząd celny w Odessie wyraźnie szykanuje przedstawicieli państw zagranicznych, tak np. zmusił kilku z nich do zbytecznego pozostawania na statku w ciągu 5 dni, w trakcie których poddawano ich ciągłym rewizyom i szykanom.



Z Opery krakowskiej: Włodzimierz Wesołowski w roli „Lohengrina“. Zakład fot. „Studio“.

Z Opery krakowskiej.

Stworzenie Opery w Krakowie to rzecz nie łatwa, a jednak dzięki niezmordowanej pracy i wysiłkom dyr. Poleńskiego ten postulat muzykalnych kół Krakowa nie tylko przyoblekł się w szatę rzeczywistości, ale zgotował melomanom niejedną prawdziwą ucztę artystyczną. Pomimo trudności, z jakiemi dyr. Poleński musi walczyć na terenie krakowskim, zdołał on skompletować doskonały zespół i wystawić szereg dzieł muzycznych pierwszorzędnej wartości. Dość tu wymienić wystawionego ostatnio „Lohengrina“.

Poza personalem stale zaangażowanym przez scenę Opery krakowskiej przesuwają się artyści i artystki światowej sławy. Jedną z nich jest p. Helena Zboińska-Ruszkowska, przepiękny sopran koloraturowy. Przed wojną występowała ona z olbrzymiem powodzeniem we Włoszech, w Medyolanie, w Turynie, Palermo, Bolonii. Przez trzy sezony śpiewała w teatrze królewskim w Madrycie, dalej w przedstawieniach uroczystych Wagnerowskich w Barcelonie („Lohengrina“, „Tanhausera“ i t. p.). Również na drugiej półkuli (Buenos-Ayres, Montevi'deo) zdobywała laury jako „Aida“, „Afry-

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych“, Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej, a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.“ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych“.** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych“, 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

kanka“, „Elza“ i t. p. W czasie wojny przez trzy sezony występowała w „Narodnim Divadle“ w Pradze, następnie w Tryeście, wszędzie czarując słuchaczy swym pięknym głosem i świetną grą. Ostatnio występowała w Operze w Warszawie, a wkrótce przybędzie, dzięki dyrekcyi na krótki czas do Opery krakowskiej.

Również wybitną siłą Opery krakowskiej jest p. Włodzimierz Wesołowski, młody utalentowany tenor bohaterski, który od roku pracuje w krak. Teatrze Opera i Operetka. Okazał on talent uniwersalny. Do niedawna jeszcze pierwszy tenor Operetki przeszedł po długich sumiennych studyach do Opery wzorem Bandrowskiego, Dygasa Gruszczyńskiego i wielu innych znakomitych tenorów, którzy rozpoczynali karyerę w operetce — Z partyi operowych należą do jego znakomitych kreacyi: Stefan w „Strasznym Dworze“, Eleazar w „Żydówce“ oraz „Lohengrin“. Obecnie przygotowuje cały szereg nowych partyi w języku polskim i włoskim, poczem pożegna Kraków, który jest kolebką jego bezsprzecznie wielkiego talentu.

O fizyczne wychowanie naszej młodzieży.

Nowy kierunek wychowania młodzieży zasadza się na równomiernem kształceniu ducha i ciała, wychodząc z słusznego założenia, że tylko wtedy odnosi ona prawdziwą dla siebie korzyść. W dzisiejszych praktycznych czasach i na tem polu łączy się przyjemność z korzyścią i, dając młodzieży to, co jej najbardziej do gustu przypada, to jest ćwiczenia sportowe na wolnem powietrzu, równocześnie przygotowuje ją do sumiennego i pełnego zrozumienia spełniania obowiązków obywatelskich.

Na tej zasadzie założono u nas bardzo doniosłą instytucyę „przysposobienia rezerw“, w której młodzież nasza uczy się w łatwy i praktyczny sposób, jak służyć krajowi z bronią w ręku. Doniosłość i korzyści stąd płynące, uznano ogólnie w lecie ubiegłego roku z okazyi zamknięcia letniego kursu dla młodzieży w obozach wakacyjnych, w których młodzież swobodnie i wesoło, a z pożytkiem dla siebie spędziła kilka tygodni na wolnem powietrzu, ćwicząc swe fizyczne siły i kształcąc swego ducha.

Praca w tym kierunku nie ustaje, a uzyskane już dobre wyniki są zachętą dla jej organizatorów. Zajęły się tem formacye strzeleckie, rozgałęzione gęstą siecią po całym kraju. Staraniem krakowskiego oddziału Związku Strzeleckiego odbył się obecnie zimowy kurs „przysposobienia rezerw“, pozostający pod wytrawnem kierownictwem kapitana Załuskiego, przy współpracy porucznika Kalińskiego i chorążego Borowca.

„Rokosza wojna“ we Wiśniczu.

Trudno chyba inaczej nazwać pożałowania godne wydarzenia, jakich widownią w ciągu prawie dwu lat ostatnich był Wiśnicz w Małopolsce Zachodniej. Świadczą one aż nazbyt dosadnio, do czego może doprowadzić chorobliwy fanatyzm tłumu i dziwić się należy, że nasze władze, tak duchowne jak i świeckie, dopuściły do tego, aby sprawa nabrała tyle rozgłosu.

W rozstrząsanie motywów nie wchodząc, konstatujemy fakt, że powodem stał się spór między byłym proboszczem wiśnickim, ks. Sękowskim, a wikaryuszem ks. Faronem, którego następstwem było usunięcie obydwu przez władzę kościelną z zajmowanych dotąd stanowisk. Ale przeniesieniu ks. Farona sprzeciwiła się ludność miejscowa, wśród której wikaryusz cieszył się ogromnym mirem. Przez szereg miesięcy urządzono stałe pogotowie parafian na wikarówce, złożone przeważnie z kobiet, aby w danym wypadku choćby siłą oprzeć się uprowadzeniu ks. Farona. Ostatecznie wyczerpała się cierpliwość władz i w dniu 23 marca b. r. przystąpiło starostwo bocheńskie do usunięcia przemocą ks. Farona, do czego użyto szwadronu kawaleryi, kompanii piechoty i siedmdziesięciu policyantów. Gdy wezwanie do dobrowolnego poddania „twierdzy“ nie odniosło skutku, wtargnięto siłą na wikarówkę, skąd ks. Farona i ponad pięćdziesięciu parafian odstawiono pod silną eskortą do więzienia krakowskiego, jako obwinionych o bunt, gwałt publiczny i opór władzy. Wiśniczanki stawiały zaciekły opór policyantom, usiłującym wedrzeć się do wnętrza budynku, sypiąc im w oczy piaskiem i solą.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych“ do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis)

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie)

Miasto (ostatnia stacya pocztowa)

Ulica Nr.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szanowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Grenusia.